

Leciałem wtedy z Zaspy. W kabinie trochę luzu. Usiadłem obok młodej osoby ubranej na hippiskę, ze zmierzwionymi włosami, w które wpleciono misternie różne ozdoby. Była nieco przybita i niespokojna. Postanowiłem jej trochę pomóc. Wyjąłem z zeszytu kilka kartek i zacząłem je pokrywać różnymi symbolami, do których dopisałem zabawne komentarze. Między innymi napisałem swoje imię. Dziewczyna wzięła moje dzieło, i po chwili wolną kartkę także upstrzyła różnymi symbolami oraz komentarzami. I tak powoli zbliżyliśmy się. Pod koniec lotu napisałem jej adres a ona podała mi swój.

Kilka dni potem przesałem do Kasi opowieść o malarzu i amatorce podniebnych podróży. Dość szybko otrzymałem odpowiedź. Zaniósłem jej list do mojej wielkiej przyjaciółki, zmarłej niedawno doktor psychiatrii Julii Zawielew. Julia przeanalizowała pismo i rzuciła krótki komentarz: – To będzie długa droga, ale możesz ją z tego wyciągnąć. Jeszcze nie jest całkiem zdemoralizowana. Nie manipuluj, tylko pisz.

Nasza korespondencja z Kasią trwała 25 lat. Za każdym zakretem życiowym, kiedy Kasia G. z Rybnika, miała poważny problem do konsultacji – mogła mi go opisać i szukaliśmy wspólnie rozwiązania. Narkotyki, narzeczony, kłopoty w szkole, matura, szkoła pielęgnarska, wyjazd z bratem do Niemiec. Różne życiowe sprawy się przewijały w tej korespondencji. Pocięczałem ją, cieszyłem z sukcesów. Kasia miała swój rytm pisania, a także zauważyłem, że jej charakter pisma zmienił się. Litery stały się czytelne. Nigdy więcej nie spotkaliśmy się. Gdyby jednak taka chwila nastąpiła, byłbym bardzo rad.



KUBA SWADŹBA (1978)

Poznałem go u Hanki Maksymowicz w Tarnowie. Był czteroletnim facetem, wyrażającym ból, tęsknotę i radość – za pomocą rysunku. Spędziliśmy kilka godzin razem. W tym czasie jego mama, wraz z Hanką, omówiły wszystkie bieżące ploteczki tarnowskie. Dałem jego mamie mój adres, prosząc o umożliwienie korespondencji. Po kilku latach, gdy Kuba już sam pisał... uznaliśmy tę czynność za niezbędną. Każda radość i smutek skutkowały listem, i tak nasza korespondencja była dla Kuby ważną rzeczą. Matura, wojsko, narzeczona... Proste sprawy i ten mężczyzna, do którego

można wszystko napisać. Poradzić się... Taką przyjąłem rolę dla Kuby i Kasi. Nie byli oni moimi jedynymi dziećmi...

Najtrudniejszą sprawą, ale jakże ciekawą i kompleksową była przygoda z grupą młodych sąsiadów, którą nazwijmy: „Klub 10 pięter na Liszta 4”. (O tym w następnym odcinku – przyp. red.)

WSPÓLNOTA POEZJI

Wszystko się zaczęło w 1980 roku. Poznałem wówczas małą Dorotę C., której tato był w odosobnieniu, mama była na wózku inwalidzkim, starszy brat był ociężały umysłowo. Słowem, trzeba było ratować Dorotę. Porozmawiałem z moimi rodzicami, którzy byli w swoim czasie zawodowymi pedagogami, aby zrozumieć, jakie problemy napotkam w tej drodze. Wówczas przyjaźniłem się z Jolą Różańską, która zgodziła się pojechać z Dorotą C. i z moją siostrzenicą Iloną na koniec do Kadyn. A ja mogłem w tym czasie dalej pracować. [...]

34 lata później. Wernisaż w Fontainebleau. Przyszła Dorotka M. Życie ustabilizowane, pracuje w sekretariacie Rady Europy. Ma dorosłą twarz. Gdybym nie wiedział, że to jest „ta” Dorotka, nigdy bym jej nie poznał. Przed chwilą zjedliśmy pyszny obiad w ogrodzie galerii Comairas w Fontainebleau, jej 14-letnia córka wypstrykała cały magazynek pikseli ze swego nikonu z ogromną rurą.

Natasza ma uśmiech dziecka, ale jest już prawie dorosła. Ociężała i jest zapatrzona w bliżej nieokreśloną dal... Jak to zazwyczaj nastolatki. Dobrze się rozumieją ze swoją mamą i obie są pełne czułości... Dorotka pamięta mnóstwo rzeczy z początku naszej

znajomości, gdy miała dziesięć lat. Co chwila wymawia jakieś słowo-zaklecie.

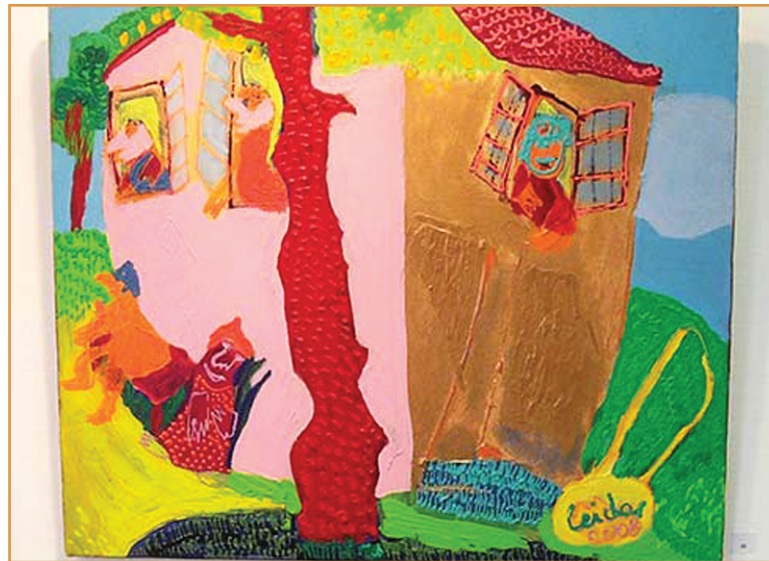
Nie martw się Dorotko, jeszcze się nieraz spotkamy...

BUŁGARSKA KOBIETA-GUMA

Zima 1980 roku. Odwołany lot z Warszawy do Gdańska. Pasażerowie zajmują miejsca w hallu na Okęciu – na czas nieokreślony. Szalejąca burza opóźnia przelot. Oczekiwanie. Część pasażerów rezygnuje. Pozostaje nas siedmioro eksploratorów, którzy gotowi są czekać na zmianę pogody. W tej liczbie bardzo zgrabna dziewczyna o nieco wschodnich rysach. Bułgarka.

Jest cyrkówką. Rozmawiamy po rosyjsku.

W transporcie zgubiła jakąś maszynę, potrzebną do swojego numeru. Pomagam jej złożyć reklamację. Nazywa się Nadia Markowa. Pochodzi z Warny. Kobieta guma. Nagle jest możliwość lotu. Leci pusty samolot do Bydgoszczy. Wszyscy przebukujemy bilety. Lot jest trudny. Wymczeni, poszukujemy w Bydgoszczy taksówki do Gdańska. Wsiadamy do obszernego mercedesa. Proponuję Nadii gościnnie, a potem poszukamy jej kwatery. Przyjmuje propozycję z ulgą.



Następnego dnia rano budzi mnie szmer w kuchni. Jeszcze trochę nieprzytomny po wczorajszej przygodzie idę w kierunku tego dźwięku. W progu kuchni staję jak wryty. Nadia trzyma się jedną ręką ławki – jej całe ciało jest wykręcone odwrotnie, głowa prosto nad stołem i druga ręka z filiżanką kawy. Głowa mówi do mnie z uśmiechem: chcesz li kawu ili czaj? Przemieszkaliśmy razem pół roku, aż do końca jej kontraktu...

Pewnego dnia, dwa lata później, podczas wernisażu mej wystawy w galerii przy ul. Piwnej w Gdańsku – nagle pojawiła się ponownie. Przyjechała całkiem tak sobie, aby zobaczyć, czy nadal robi na mnie tak oszałamiające wrażenie. Może też miała jakieś plany w stosunku do mojej osoby?

Pamiętam, że wybierała się do Szwajcarii, aby wykładać w szkole cyrkowej. Więcej się już nie spotkaliśmy...

Nawiasem mówiąc, wystawa w galerii przy ul. Piwnej, została otwarta 8 grudnia 1981 roku. Trzynastego grudnia był ogłoszony stan wojenny, który trwał dwa lata. Tym samym zainaugurowano najdłuższą trwającą wystawę mego życia, i to bez możliwości jej oglądania.

KOCICA MAURA

Słotny dzień jesienny. Jeszcze miałem wstąpić do Przywidza, do Krysi M., która sobie życzyła abażur do lampy. Usiadłem w kuchni na taborecie. Nagle poczułem ostre pazury, które wczepiły się powyżej kolana. Na mojej nodze siedziała jaśnie królowa wszystkich kotów: srebrna persiczka, o imieniu Maura.

Ktoś zostawił ją „na chwilę”, i tak przemieszkała u K.M. dwa lata. Tymczasem K. M. zaręczyła się z obywatelem szwedzkim, który miał alergię na kocie futro. Zatem nie wahając się dłużej, zabrałem ze sobą tę cudownie piękną istotę, która przez najbliższe pięć lat miała być moją wielką radością.

Dwóch małych chłopców, którym, widać, wszystko było wolno, podszło – pomimo ostrzeżeń – zbyt blisko kociego ogona i od razu jeden z nich

został znokautowany wystającym pazurem. Gdyby podszedł jeszcze bliżej, mógłby stracić oko... Po tej akcji kocica Maura wskoczyła na górną półkę, pomiędzy trzy tomy Sienkiewicza a Barona Münhausena, i stamtąd już bezpiecznie lustrowała okolice.

Takich akcji było bez liku. Ciągłe wszystkim się zdawało, że jest to żywy pluszowy miś, gdy tymczasem kot posiada rozwinięty instynkt własnej tożsamości. Trzeba być cierpliwym i czekać. Jeśli kot cię wybierze – to będzie przyjacielem na całe życie.

Tata Arnold miał kotkę Minou, która

go odprowadzała na przystanek trolejbusu na Niepodległości w Warszawie. A kiedy wracał po południu z pracy, kotka czekała w pierwszych krzakach, aby mu opowiedzieć, co też zdarzyło się w ciągu dnia. Pomrukem i miaukotom nie było końca.

Kocica Maura była bardziej zamknięta w sobie. Jej królewskie futro, podziwiane przez znawców futer, mogło być przeszkodą do nawiązania bliskich przyjaźni. A przecież wcale nie była wyniosła.

PODRÓŻE Z KOCICĄ MAURĄ

Przeważnie z Polski do Francji i z powrotem. Za każdym razem wizyta u weterynarza oraz wznawianie paszportu. [...]

Pewnego dnia, w drodze do Francji, okazało się, że ubezpieczenie samochodu jest jakby nieaktualne. Wykupiłem je przed granicą i oboje z Hanią odetchnęliśmy z ulgą. Wszakże nie na długo. Od razu po przekroczeniu granicy nastąpiła pora monsunu. Potworna ulewa zaciągnęła, tworząc mglisty krajobraz, który szarzał z upływem czasu. W pewnym momencie poczułem, że niebawem zasną. Zjechaliśmy na parking w pobliżu Frankfurtu nad Menem. Przy bezchmurnej pogodzie byłbym już dawno w Strasburgu.

Zatem śpiący na parkingu. Kotka Maura drzemie z tyłu, Hania i ja, każdy w swoim śpiworze, zatapiamy się w mroku nocy. Burza z wolna przemija. Jest siódma rano... Słyszę pukanie do okna wozu po mojej stronie. Otwieram oko. Niestety, to prawda. Policja drogowa. Dwóch cywili. Tata Arnold zawsze mawiał, że cywile, to jeszcze gorzej. Czepiają się wszystkiego. Mogą być nawet bardzo agresywni. Otwieram okno. Podaję papiery wozu i nasze paszporty oraz dokumenty kotki Maury.

Po chwili wracają – ubezpieczenie nieważne na Europę... 300 euro mandatu i 300 euro ubezpieczenie. Nie mamy takiej kasy przy sobie. – Pojedźcie za nami na posterunek. Znaczy – jesteście aresztowani.

W Butzbach Hania zostaje w aucie z kotem, ja idę do środka. Jest jeden

policjant ze znajomością francuskiego. Mogę zadzwonić w trzy miejsca w Niemczech. Zaczynamy od znajomej z Hannoveru. To nie był zbyt dobry wybór. Głos w słuchawce: – Pan Leider nie ma pieniędzy na mandat? Najbogatszy artysta w Polsce? Taki sobie żarcik... Nie ułożyło nam się zbyt z tym panią dziesięć lat wcześniej. Wobec tego, po kobiecemu odegrała się. Dzwonimy dalej. Moja siostrzenica w Stuttgarcie. Prosi o podanie mi słuchawki: – Tak, wuju, wysyłam. Ale oddasz...? No naturalnie, jak tylko dojadę do Grenoble.

Sytuacja jest uratowana. Mamy tylko zamieszkać w tym pensjonacie. Auto z kotem zostanie na parkingu policyjnym.

Na drugi dzień na poczcie jest przelew. [...]

JULIAN LENIEC, RZEŹBIARZ

Poznałem go w 1976 roku, podczas pleneru w Kadynach. Mieliśmy być skazani na pobyt we wspólnym pokoju, jako jedyni niepijący. Nawet mi to schlebowało. Miałem przed sobą znajomość z człowiekiem z innej epoki. Prędko okazało się, jak dalece.

Julian był genialnym matematykiem, sztuknikiem. Jego rzeźby, doskonale zbudowane, były całkowicie pozbawione romantyzmu. Jego czas poszukiwań to lata dwudzieste, trzydzieste. Żadnych ozdób, sama użyteczność.

Kiedyś wpadł do mnie, na Polną w Sopocie. Właśnie odlewałem kafle do płaskorzeźby dla TVP w Warszawie. Rozmowa zeszyła na brzydotę grzejników ciepłowniczych. Nagle Julian miał pomysł. Oczyszczył stół pod oknem i zaczął projektować kafel, który mógłby stanowić jakiś ciąg kompozycyjny. Zaleciało fin de siècle. Ale jak porządnie zrobił negatywy i pozytyw. Naturalnie, Julianie, że to byłyby cudowne osiedla, wypełnione dziełami sztuki.

Innym razem był telefon ze szpitala. Julian miał złamany palec u nogi. Samotny starszy pan upuścił sobie na stopę rzeźbę z brązu. A ponieważ się nigdy nie skarżył, gdyż uważał, że to nie wypada, dopiero po kilku dniach pracownik kuchni, dowożący jedzenie dla pana rzeźbiarza, zauważył, iż Julian dziwnie chodzi. Natychmiast zarządzone badanie stopy i zawieziono do szpitala, korzystając przy tym z okazji, aby starszego pana zbadać na różne dolegliwości. Na trzeci dzień Julian dzwoni do mnie, prosząc o jakieś książki do czytania. Wyszukałem nieco z literatury czeskiej i południowoamerykańskiej. Zawiozłem mu czym prędzej.

Ledwom powrócił, już był telefon. Julian krzyczał w słuchawkę: – Ty zdrajco! Chcesz mnie odmódrzyć? Potrzebuję dawki matematyki. Może być astrofizyka lub fizyka kwantowa. Rozumiesz? Coś dla ducha.

Julian był coraz trudniejszy. Pewnego dnia zaczął tracić pamięć. Przestał mnie odwiedzać. Także z pewną trudnością odnajdował drogę do swojej pracowni. Ja tymczasem wyruszyłem do Francji, opiekować się mamą Genevieve. Straciłem zatem Juliana z oczu. Kilka lat temu przeczytałem jego nekrolog. W dniu śmierci miał 105 lat. Jako jeden z nielicznych, na pogrzeb przybył przedstawiciel związku ze służbą więzienną kwiatów. Ktoś szacny przyozdobił jego długi pomnik Chrobrego w Elblągu...